

666 „Lucja” czyli wielki szpan

JERZY KWIECIŃSKI

Przywykliśmy już do tego, że każda premiera Teatru Wielkiego poszerza repertuar tej placówki (a tym samym edukację widzów) o jakieś dzieło znaczące, godne uwagi, może nie zawsze przez swe czysto artystyczne wartości, ile częściej przez swą reprezentatywność dla danego stylu czy epoki w sztuce operowej. Tak też i z najnowszą premierą „Lucji z Lammermoor” Donizettiego, utworem bardzo nierównym muzycznie i dramatycznie, ale zmiennym dla włoskiej opery romantycznej, rozwijającej się po śmierci Rossiniego w pewnej opozycji wobec Belliniego, który póki żył, zagradzał Donizettiemu drogę do pierwszego miejsca na włoskim Parnasie.

W tej swojej „Lucji” zresztą, jak twierdzą znawcy przedmiotu, wykrzesał z siebie Donizetti maksimum inwencji i umiejętności dla wzbogacenia środków wyrazu artystycznego i chociaż dzisiejszy bywalec operowy nie ze wszystkim może czuć się usatysfakcjonowany, to trudno przecież nie zauważyć dążności kompozytora do muzycznego zróżnicowania wokalnych i orkiestrowych partii dla oddania zmiennych stanów psychicznych tytułowej bohaterki. Widoczne to, zwłaszcza w wielkiej scenie obłąkania, choć tu i ówdzie dramatycznym przeżyciom towarzyszy nieoczekiwane skoczna i niesfobliwa melodyjka, a przy tym nie jest to kontrast stosowany świadomie. W każdym razie wspomniana tu wielka aria, czy raczej cała scena stanowiła zawsze wielką pokusę dla najślynniejszych sopranistek i okazywała się dobrym sprawdzianem ich wokalnego kułsztu oraz scenicznych talentów.

Z dużym więc zaciekawieniem oczekiwali miłośnicy operowego bel canty wystawienia tej opery, tym bardziej, że jej inscenizację i reżyserię powierzono zagranicznemu, i to włoskiemu specjalście, który powinien dobrze wiedzieć, jak przysposobić scenicznie głośne dzieło swego krajana, aby nie uchybić tradycjom wykonawczym, a jednocześnie tchnąć w realizację ducha nowoczesności, której puls, być może, nie wyczuwamy już dość subtelnie. Warto zresztą wiedzieć, że pan **RENZO GIACCHIERI** jest dyrektorem największej podobno widowni operowej świata, czyli przedsiębiorstwa pod nazwą „Arena di Verona”, na której za czasów pogańskiego Rzymu działa się z pewnością straszne rzeczy. Jeżeli komu to zaimponuje, podaję dla informacji, że owa „Arena” liczy sobie 18 tysięcy miejsc pod gołym niebem, co oczywiście nie stanowi jeszcze artystycznej rekomendacji tej placówki.

Inscenizacja p. Giacchieriego ograniczyła się do nowego podziału materiału literackiego na odsony i akty, sprzecznego z przyjętą tradycją, co jednak moim zdaniem nie tłumaczy się jakąś dostrzegalną potrzebą, w swojej natomiast robczo reżyserkiej nasz gość pozostał uległy tradycjom, odczytując w duchu dawnej konwencji operowej poszczególne sceny i sytuacje (ogromnie szampowe konanie Edgara — śpiewającego oczywiście), w znacznej mierze nacechowane statycznością.

Z zamysłami inscenizacyjno-reżyserkimi korespondowała w pewien sposób scenografia, o tyle, że stanowiła, jak się zdaje, próbę odwołania się do romantycznej stylizacji operowej, jak np. na samym początku, kiedy to wielce tajemniczy parów leśny obramowany był — zwłaszcza od góry, imitowaną draperią w mocno pompierskim guście. Dekoracjom nie można odmówić swoistej urody za mało jednak wydają się wystylizowane, zbyt historyczne, a nie dość aluzyjne, za mało w nich pastiszu, co odnosi się też do scenerii następných odsonów i aktów, m. in. z pałacową kolumnadą.

Nie najlepiej też wiodło się zwłaszcza na początku, orkiestrze, która brzmiała niko i mało spójnie, a nierzadko rozmyślała się ze śpiewakami i chórem. Dopiero od udanego tercetu Lorda Ashtona, Rajmunda i Normana zaczę-

ła się sytuacja klarować, a poprawiła się na dobre od późnego „zaręczynowego” duetu Edgara i Lucji.

Główna rola i zarazem najbardziej odpowiedzialna partia wokalna przypada **KRYSTYŃCE RORBACH-WALASZEK**. Nie słyszałem wcześniej prezentacji tej arii w jej wykonaniu na niedawnej operowej „gali”, a tym, którzy tak-że nie słyszeli, zdradzę plotkę, iż nasza artystka miała wtedy wypaść ponoć jeszcze lepiej, niż na premierze. Jeśli tak, to owo „lepiej” (a obecne „gorzej”) oznaczać mogło chyba, że premierowe obciążenie psychiczne sprawiło, iż głos śpiewaczki brzmiał niekiedy niedostatecznie śpólnie, był chwilami jakby przytłumiony, nie zawsze wypływał z piersi szerokim strumieniem, lecz nieraz jakby kierował się do „wnętrza” i dopiero pod koniec przedstawienia (czyli począwszy jednak od najważniejszej sceny) nabral właściwego dramatycznego wyrazu i ujawnił się w pełnym blasku.

Zacznym od tego (zapewne dyskusyjnego) mankamentu, żeby z czystym sumieniem i najwyższą satysfakcją powitał imponującą wokalnie i muzycznie interpretację wielkiej, trwającej kwadrans sceny błędę, zarówno wspaniałą technikę kolaraturową, jak i szlachetnie brzmiącą kantylenę, a do tego powściągliwość i świeżość środków aktorskich. Nie osmielałem się ryzykować opinii, iż była to w każdym calu nie-naganna kreacja śpiewacza, miałem jednak odczucie, iż w tej władnie scenie jestem świadkiem, jak Krystyna Rorbach przekracza oto jakiś ważny próg na drodze do prawdziwej kariery artystycznej.

Można było odnieść wrażenie, że nasza sceniczna Lucja działała w pewnej jakby próżni, nie znajdując godnych siebie partnerów, gdyby nie doskonała wokalnie i muzycznie oraz przekonująca aktorsko rola Rajmunda w wykonaniu **ZDZIŚŁAWA KRZYWICKIEGO** (i cóż za wzorowa dykcja, będąca jednym ze świadectw właściwej emisji głosu!). Nie chcę przez to powiedzieć, że wszyscy pozostali śpiewacy zawiedli, bo przecież w dawno nie spotykanej formie pokazał się jako **Lord Ashton JERZY JADCZAK**, dobre momenty miał **ROMAN WERLIŃSKI (Norman)**. Co prawda ukochany Lucji Edgar — **JERZY WOLNIAK** nie zawsze pewny był intonacyjnie i głosowo też miał kłopoty, a najlepiej wypadł w cmentarnej scenie rozpaczny nad rzekomą zdradą Lucji. W roli Alicji wystąpiła **URSZULA JANKOWIAK** (dobrze zabrzmiał duet obu przyjaciółek w scenie zwierzeń Lucji), w roli Artura obsadzono — chyba niefortunnie — **ADAMA DULIŃSKIEGO**.

Przedstawienie „Lucji z Lammermoor” z pewnością nie stanowi sukcesu naszego teatru, ale ostatecznie nie byłoby nad czym rozdzierac szat, ponieważ niepowodzenia artystyczne, jeśli niebyleż częste, są sprawą niejako wkalkulowaną w ryzyko zawodu. Należy jednak zastanowić się nad tym, czy warto było brać coś na warsztat, jeśli nie rozporządzało się dostateczną obsadą i — chociaż podróże niewątpliwie kształca, to daleka wyprawa w poszukiwaniu reżysera może mieć wtedy sens, jeśli jej celem jest zapoznanie się z jego talentami, nie tylko administracyjnymi.

Niewątpliwie, wyszedł z tego duży szpan, ale przy tym mały zysk.

Gaetano Donizetti „Lucja” z Lammermoor. Libretto — **SALVATORE CAMMARANO** (wg Waltera Scotta). Kierownictwo muzyczne — **ALEKSANDER TRACZ**, inscenizacja i reżyseria — **RENZO GIACCHIERI**, scenografia — **JOZEF NAPIORKOWSKI**, rytyżard **STOBNIKI**; przygotowanie chóru **HENRYK KARPINSKI**. Premiera 17 grudnia 1983 r.



Krystyna Rorbach — Łucja

Foto: Chwałisław Zieliński

NR 2 (1346) XXVII 14 STYCZNIA 1984 R.